

Gdyby czas był na

Z profesorem Bogdanem Neyem, członkiem rzeczywistym

Jak pan ocenia sytuację powstałą w związku z likwidacją KBN? Czy to jest ruch w dobrym kierunku?

Wszelkie reformy przeprowadza się pod hasłem poprawy. Oficjalnie więc odpowiedź brzmi, że jest to ruch w dobrym kierunku. Zmiany mają na celu wzmocnienie pozycji konstytucyjnego ministra, który zarządza działem administracji rządowej „nauka” przy pomocy Ministerstwa Nauki i Informatyzacji. Rada Nauki, która została powołana w miejsce dawnego Komitetu Badań Naukowych, przez ponad trzy lata będzie się składać z prawie tych samych ludzi. W organach Rady: Zespole Badań na rzecz Nauki, Zespole Badań na rzecz Gospodarki oraz Zespole Odwoławczym (który jest daleko idącą nowością) będą osoby, które do 4 lutego br. były członkami KBN. Nowi ludzie są za to w może najważniejszym organie, jakim jest Komitet ds. Polityki Naukowej i Naukowo-Technicznej. Ta nowa struktura w Radzie Nauki powinna oznaczać wzmocnienie aktywności i systematycznych działań w tym, co się nazywa polityką naukową i naukowo-techniczną.

Czy to oznacza więcej pieniędzy dla nauki?

To bezpośrednio nie może oznaczać ani więcej, ani mniej pieniędzy, ponieważ są one dzielone w budżecie państwa. Tak się natomiast składa (może przypadkowo, a może nie), że wicepremier Hausner złożył jakiś czas temu urzędową obietnicę, iż w budżecie na rok 2006 ma być 4 miliardy złotych na naukę, wobec 2,9 miliarda w roku 2005, a więc byłby to przyrost bardzo znaczący, ponad 30-procentowy.

Ale autonomia grona naukowców decydującego o sposobie wydawania pieniędzy zostanie znacznie ograniczona?

W stosunku do KBN jest ograniczona, natomiast nie ryzykowałbym jeszcze stwierdzenia, że znacznie, bo na razie jest to kadencja przejściowa. Dopiero za jakieś 3,5 roku ustawa powinna zacząć działać zgodnie z jej duchem.



FOT. KATARZYNA PAKUJA-KWIECINSKA

Działalność w instytucjach naukowych

- 1957-60 AGH, Kraków – asystent
- 1960-64 AGH, Kraków – starszy asystent
- 1964-69 AGH, Kraków – adiunkt
- 1969-74 AGH, Kraków – docent, zastępca dyrektora Instytutu
- 1974-80 AGH, Kraków – kierownik Zakładu, docent
- 1974-79 IGIK, Warszawa – docent, dyrektor
- 1979-91 IGIK, Warszawa – profesor, dyrektor
- od 1991 IGIK, Warszawa – profesor
- 1991-97 WAT, Warszawa – profesor
- 1993-2002 PAN – zastępca sekretarza (przewodn.) Wydziału VII
- 1994-2002 PAN – dyrektor Centrum Upowszechniania Nauki
- od 2003 PAN – przewodniczący Wydziału VII

Czy mamy jakichś swoich ludzi w Radzie Nauki i w związku z tym o fundusze na geodezję możemy być spokojni?

Jedynym geodetą w Radzie Nauki jest prof. Stanisław Białousz. Ale przecież sprawy załatwia się nie na zasadzie znajomości; aczkolwiek merytoryczne kompetencje mają znaczenie.

A właśnie, skoro mowa o systemie wartości, to większość ludzi wynosi go z domu rodzinnego. Czego pan nauczył się od rodziców?

Akurat mogłem się nauczyć dość dużo, bo pochodzę z rodziny nauczycielskiej. Niejako genetycznie jestem więc obciążony pewnym zamiłowaniem do przyswajania wiedzy. Moi rodzice w latach 20. w ramach akcji pozyskiwania inteligencji do pracy na Kresach Wschodnich trafili z Małopolski na Polesie i dlatego urodziłem się (podobnie jak starszy brat Roman) w miasteczku Pińsk.

sprzedaj...

PAN, rozmawia Katarzyna Pakuła-Kwiecińska

Jako kilkuletni chłopiec uciekał pan przed wywózką do Kazachstanu.

I była to ucieczka całkiem udana. Jak się okazuje, ci co nie uciekli, to w lepszym wypadku znaleźli się za granicą (tak jak moja rodzina w Australii), a w gorszym – nigdy nie wrócili ani tu, ani w żadne inne miejsce. Ciekawostką jest, że nam w tej ucieczce pomógł miejscowy komunista, niejaki Telczyk. Ten Białorusin zachował się bardzo lojalnie i uprzedził moją matkę, że przychodzi ktoś nowy z NKWD z Mińska i nie będziemy tu już bezpieczni. Osobiście, z czerwoną opaską na rękawie i karabinem, pomógł nam wydostać się z Pińska. W rejonie Brześcia przeszliśmy w nocy po zamrzniętym Bugu, a była to okrutna zima, 30-35 stopni mrozu, co mama przyplaciła odmrożeniem nóg.

Jak radziliście sobie w czasie wojny?

Ojciec uczył w szkołach powszechnych w różnych miejscowościach. Niemiecka administracja okupacyjna często przenosiła nauczycieli, żeby nie żyli się z miejscowym podziemiem. Matka nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem. Hodowaliśmy też króliki, a moim i brata obowiązkiem było dbanie o pożywienie dla nich.

A po wojnie, czy rodzice zapisali się do PZPR-u?

Nie.

A pan?

Ja byłem w partii od 1969 r.

Skąd decyzja o wyborze geodezji, skoro w rodzinie nie było geodetów?

To prawda, aczkolwiek byli tacy, co mierzyli siły na zamiary. Ale przecież nie wszystko, co wiąże się z mierzaniem, jest geodezją. W szkole miałem zainteresowania prawnicze i polonistyczne, jednak moi profesorem gimnazjalni postarali się wybić mi to z głowy. Polonista tłumaczył dobitnie: „Co ty, Ney, zwariowałeś? Chcesz klepać bidę tak jak ja?! Naucz ty się czegoś takiego, co ci nie będzie politycznie mieszać”. Poza tym brat studiował dwa lata wyżej na geologii na

AGH, więc trochę korzystałem z jego doświadczeń. Nie było to pełne naśladownictwo, bo mamy bardzo różne charaktery, inawet fizycznie jesteśmy do siebie mało podobni (on jest podobny do matki, a ja do ojca).

Czym można wytłumaczyć fakt pańskiej niezwyklej kariery naukowej? W wieku zaledwie 44 lat został pan profesorem, a następnie członkiem korespondentem i członkiem rzeczywistym PAN.

Ta kariera nie jest niezwykle, nie przesadzajmy. Gauss miał 25 lat, jak został profesorem, a ze współczesnych geodetów choćby profesor Baran był młodszy ode mnie, nie miał 40 lat. W moim przypadku nieco odwlekła się habilitacja, bo pracę nad nią rozpocząłem jeszcze w Krakowie, ale 16 czerwca 1974 roku minister Kusiak wręczył mi powołanie na dyrektora Instytutu Geodezji i Kartografii i za dwa dni objąłem tę funkcję. Przyszedłem w nowe dla mnie środowisko, no i wziąłem odpowiedzialność za instytut resortowy, który zatrudniał ponad 150 osób. W ogóle geodezja traktowana tak dosłownie jest na tyle wąską dyscypliną naukową, że w niej samej trudno jest zrobić tzw. dużą karierę naukową. I polskie doświadczenia to potwierdzają. Stanisław Kluźniak był geodetą, ale przecież i głównym urbanistą kraju. Hausbrandt zajął się racjonalizacją i doskonaleniem metod obliczeń, wychodząc poza geodezję. Michał Odlanicki-Poczobutt kierował biurem planowania regionalnego. Leszek Cichy, znakomity himalaista, jest bankowcem. Myślę, że członkostwo PAN zawdzięczam głównie temu, iż moje zainteresowania i działalność naukowa, tudzież organizatorska, wykraczały poza geodezję. Jestem zwolennikiem poszukiwania pewnych nowości w zawodzie i poza nim, co przez niektórych może być pożytywane jako wchodzenie w ich rewiry (np. w gospodarkę przestrzenną).

Nie mieści się pan w ramach geodezyjnych, tylko próbuje sięgnąć dalej?

Tak. Interesują mnie sprawy na styku dyscyplin i nie mam poczucia, że architektki, prawnicy czy rolnicy próbują mnie wyeliminować.

70-lecie prof. Bogdana Ney

Bogdan Ney urodził się 3 lutego 1935 r. w Pińsku, woj. poleskie (obecnie Białoruś). Jego rodzice (Katarzyna i Stefan) byli nauczycielami pochodzącymi z Małopolski. Mieli już starszego syna Romana. Na początku 1940 roku groźba wywózki do Kazachstanu zmusiła ich do dramatycznej ucieczki z Polesia. Następnie ojciec prowadził szkoły powszechne w kilku miejscowościach Małopolski, głównie w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Bogdan uczęszczał do I Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie (1948-52), a następnie studiował na Wydziale Geodezji Górniczej AGH w Krakowie (1952-1957). Był aktywnym członkiem Koła Naukowego Geodetów, delegatem na drugi krajowy zjazd ZSP, a także pełnił funkcję starosty roku. W czerwcu 1957 roku ukończył studia ze specjalnością geodezja inżyniersko-przemysłowa i miejska. Pracę dyplomową z zakresu geodezyjnych pomiarów odkształceń wykonał pod naukowym nadzorem prof. Tadeusza Kochmańskiego. Krótko pracował jako inżynier w przedsiębiorstwie geodezyjnym, głównie w klasyfikacji gleb.

Od 1 października 1957 został zaangażowany na stanowisku asystenta w ówczesnej Katedrze Geometrii Wykreślnej w AGH, kierowanej przez prof. Tadeusza Rachwałę. Wpoczątkach 1960 r. przeniósł się do katedry Geodezji Wyższej i Obliczeń Geodezyjnych (kierownik prof. Tadeusz Kochmański). W grudniu 1963 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych na podstawie pracy pt. „Analiza niektórych kryteriów przesunięć punktów geodezyjnych w oparciu o wyniki pomiarów”, której promotorem był prof. Tadeusz Kochmański. Od marca 1964 r. do stycznia 1969 r. pracował na stanowisku adiunkta, prowadząc zajęcia dydaktyczne. 1 lutego 1969 r. został powołany na stanowisko docenta, a 1 października objął funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Geodezji Górniczej i Przemysłowej (późniejszego Instytutu Geodezji), którym kierował prof. Michał Odlanicki-Poczobutt. 1 października 1970 roku objął funkcję kierownika Zakładu Geodezji Przemysłowej i Badań Odkształceń.

16 czerwca 1974 r. Bogdan Ney został przeniesiony służbowo na stanowisko dyrektora resortowego Instytutu Geodezji i Kartografii w Warszawie. W ciągu 2,5 lat dojeżdżał co tydzień do pracy, mieszkając nadal na stałe w Krakowie z żoną Anną (radcą prawnym) i synem Pawłem (ur. 15 września 1975 r., obecnie dziennikarz motoryzacyjny). W grudniu 1976 roku rodzina zamieszkała w Warszawie. W 1977 r. obronił rozprawę habilitacyjną pt. „Metoda wyznaczania deformacji poziomych sieci geodezyjnych”.

Jako dyrektor IGIK szczególnie zasłużył się w trzech obszarach działalności:

- aktywizacji w kształceniu i rozwoju kadry naukowej (sam był promotorem dwóch doktoratów);

- rozwoju współpracy międzynarodowej Instytutu (m.in. osobiście kierował polskimi grupami rozwijającymi metody geodezji inżynierskiej w wielostronnej współpracy naukowo-technicznej służb geodezyjnych 11 byłych krajów socjalistycznych; w programie INTERKOSMOS prowadził polską grupę zajmującą się rozwojem i wykorzystaniem teledetekcji satelitarnej; w bardzo trudnych warunkach stanu wojennego przewodniczył komitetowi organizacyjnemu XI Międzynarodowej Konferencji Kartograficznej obradującej w Warszawie latem 1982 roku);

- utworzeniu i rozwinięciu działalności Ośrodka Przetwarzania Obrazów Lotniczych i Satelitarnych (OPOLiS), jako krajowego centrum teledetekcji satelitarnej (od początku 1976 r.). Decyzją Rady Państwa z 13 czerwca 1979 roku, po przeprowadzeniu przez Radę Naukową IGIK postępowania awansowego, otrzymał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego. Następny awans naukowy Bogdana Ney a to wybór na członka korespondenta Polskiej Akademii Nauk w 1986 roku. Był on wówczas czwartym polskim geodetą (po Stanisławie Pawłowskim, Zygmuncie Kowalczyku, Michale Odlanickim-Poczobucie), który dostąpił tego zaszczytu.

Jeszcze w Krakowie i później w Warszawie był konsultantem w kilku przedsiębiorstwach geodezyjnych oraz Zjednoczeniu GEOKART. W latach 80. Bogdan Ney uczestniczył aktywnie w działalności wyspecjalizowanych instytucji ONZ. Od 1991 roku prowadzi w IGIK samodzielną Pracownię Badań Systemowych, a od 1996 roku przewodniczy Radzie Naukowej. W latach 1991-97 był również profesorem cywilnym w Wojskowej Akademii Technicznej. W 1998 roku został uhonorowany przez ówczesną ART w Olsztynie tytułem doktora *honoris causa*.

W latach 90. Bogdan Ney podjął się pełnienia dodatkowych funkcji w PAN: zastępcy sekretarza naukowego Wydziału VII Nauk o Ziemi i Nauk Górniczych (1993-97) i zastępcy przewodniczącego Wydziału (1997-2002). Na początku 2003 r. został wybrany na przewodniczącego Wydziału VII PAN. Z tego tytułu jest też członkiem Prezydium PAN i członkiem Kolegium Przewodniczących Wydziałów. W kadencji 1999-2002 był członkiem Prezydium PAN z wyboru imiennego. Od 2002 roku jest członkiem rzeczywistym PAN. Pełni wiele funkcji – z wyboru lub z nominacji – w instytucjach naukowych, naukowo-technicznych, organach doradczych, organizacjach społecznych i w jednostkach gospodarczych. ■

nować lub gorzej traktują. Znajduję z nimi wspólny język w różnych sprawach, korzystając z pewnych predyspozycji, doświadczeń i umiejętności, które ma geodeta, a jednocześnie chłonąc bratnią wiedzę. Ceną tego jest pewne, siłą rzeczy, powierzchowne traktowanie niektórych spraw z własnej dyscypliny. Ale jest to podejście celowe. Uważam, że zagadnienia szczegółowe należy zostawić młodzieży i nie blokować jej miejsca, co niestety bywa zmorą naszych czasów.

W zakresie samej geodezji też miał pan bardzo szerokie zainteresowania naukowe: i rachunek wyrównawczy, i pomiary w GIP, potem teledetekcja, problemy organizacyjne i ekonomiczne, wreszcie SIP. Skąd się to u pana bierze?

Myszę, że po części z zainteresowania nowościami, które ma chyba większość ludzi (z wyjątkiem urodzonych konserwatystów), a po części z nowego zapotrzebowania na moją pracę. Otóż geodezja jest dyscypliną i zawodem mocno konkretnym. Ponieważ jednak dawniej nie mieliśmy precyzyjnego sprzętu pomiarowego, więc żeby uzyskać wystarczającą dokładność, trzeba było sobie radzić w inny sposób, na przykład mieć opanowany rachunek wyrównawczy. W czasie wizyty na budowie hotelu Forum w Warszawie z zaskoczeniem przyjąłem informację, że Szwedzi przy wznoszeniu wysokich budynków nie stosowali teodolitów. Technik budowlany był przyuczony do obsługi pionownika optycznego (wówczas był to sprzęt dopiero wchodzący do polskich firm). Natomiast przy względnie prymitywnym wyposażeniu, jakim my dysponowaliśmy, wykształcenie odgrywało większą rolę, potrzebna była znajomość teorii. Musieliśmy więc głęboko wchodzić w rachunek wyrównawczy, w analizy dokładności. Pamiętajmy, że w tamtych czasach informatyka dopiero się rodziła. Trzeba więc było opanowywać pewne wyrafinowane metody obliczeń. Tak powstał rachunek krakowianowy, którego twórcą był astronom Tadeusz Banachiewicz.

Zaczął pan od pracy w Zakładzie Geometrii Wykreślnej.

Przepracowałem tam pierwsze 2,5 roku, zajmując się dyscypliną, która rozwija wyobraźnię przestrzenną i ułatwia zrozumienie wielu rzeczy. Następnie, po odejściu prof. Jerzego Gomoliszewskiego na emeryturę, objąłem po nim Zakład Geodezji Przemysłowej i Badań Odształceń. Mając opanowany względnie przyzwoicie rachunek wyrównawczy i metody obliczeń, wszedłem w geodezję inżynierską. Mój doktorant Józef Czaja (obecnie profesor) zajął się teorią elementów skończonych i zastosował ją do analiz

deformacji. Natomiast wspólnie z moim drugim doktorantem Danielem Pisarczykiem zainicjowaliśmy zastosowanie informatyki do opracowania planów tyczenia tras i ich tyczenia w terenie.

Wielkim wyzwaniem było przejście do IGIK w Warszawie. Moje przygotowanie wyniesione z Wydziału Geodezji Górniczej w AGH było jednak dość specyficzne. Geodezja wyższa nie była na takim poziomie jak na niektórych innych wydziałach, kartografia była słabo rozwinięta, a fotogrametria – słabo wyposażona. Autografu w ogóle w Krakowie nie było, a inżynier Kapusta z oddziału Państwowego Przedsiębiorstwa Fotogrametrii przyjeżdżał do centrali do Warszawy wykonywać opracowania kameralne. My też jako studenci oglądaliśmy autograf w Warszawie podczas wizyty technicznej prowadzonej przez obecnego profesora Zbigniewa Sitka. Dawno już nieżyjący profesor Jan Cisło wykladał nam pracę na autografie, stojąc na katedrze i pokazując ruchami rąk i nóg, jak się stroi model.

A przecież w 1976 r. uruchomiliśmy w IGIK pierwszy cywilny ośrodek teledetekcji w byłych krajach socjalistycznych (bardzo się temu przysłużył ówczesny prezes GUGiK Czesław Przewoźnik). Siłą rzeczy ja, jako dyrektor instytutu, też zająłem się teledetekcją, przede wszystkim jej zastosowaniami i wykorzystaniem. Techniki pozostawiałem już, i słusznie, młodszym i lepiej w tym kierunku wykształconym.

A mógł pan całe życie spędzić, badając deformacje, wynajdując wciąż nowe aspekty...

Ale na szczęście tak jak istnieje bioróżnorodność w świecie przyrody, również i ludzie nie są tacy sami. Zpewną przesadą i żartobliwie można powiedzieć, że uczeni dzielą się na dwie kategorie: takich, co wiedzą wszystko o niczym (bo działał, w którym są alfa i omega, jest już tak wąski i tak spenetrowany, że jest bliski nicności), oraz takich, co nic nie wiedzą, ale za to o wszystkim. I ja jestem bliższy tej drugiej kategorii. Bez kompleksów zasiadam w komisji urbanistyczno-architektonicznej woj. mazowieckiego i widocznie jestem przydatny, skoro mnie tam powołano.

Wspomniał pan kilka nazwisk nauczycieli akademickich. Czy miał pan wśród nich swojego mistrza?

Wzorem był dla mnie profesor Kochmański – promotor i mojej pracy dyplomowej, i doktorskiej. Był to niezwykle człowiek o dużych zdolnościach matematycznych. Przed wojną skończył na AGH Wydział

TCS400 - wydajne drukowanie w kolorze



100
systemów
zainstalowanych
w Polsce

Produkt europejski



Prędkość i precyzja

- Druk formatu A1 w 25 sekund*
- Podciśnieniowy system prowadzenia papieru zapewniający najwyższą precyzję oraz dokładność wydruku i kopii
- Równoległe przetwarzanie wysłanych kolejnych plików i drukowanie - w efekcie wysoka wydajność
- Prosta droga prowadzenia papieru minimalizuje możliwość zacięć



Prosta obsługa

- Całość obsługi w języku polskim (panel operacyjny, oprogramowanie, sterowniki)
- Zarządzanie kolejką prac (wstrzymywanie, usuwanie, zmiana ilości), wydruk zadań z pamięci kontrolera poprzez dostęp z poziomu dowolnego PC w sieci za pomocą przeglądarki internetowej
- Łatwa wymiana mediów i atramentów w trakcie pracy systemu
- Tryb druku nocnego (bez nadzoru operatora)



Możliwość rozbudowy

- O moduł kopiowania z wydajnością do 72 formatek A1** na godzinę
- O moduł skanowania bezpośrednio z pulpitu skanera na 10 dowolnie wybranych stanowisk w sieci, z rozdzielczością optyczną do 508 dpi i interpolowaną do 600 dpi
- Do trzech automatycznych podajników mediów (możliwość założenia do 360 metrów bieżących mediów na ploter)

* Prędkość mechaniczna. Tryb monochromatyczny, najrybzy, linie i tekst.
** Prędkość uwzględniająca skanowanie oryginału, jego przetwarzanie i wielokrotny wydruk. Tryb monochromatyczny, najrybzy, linie i tekst.

Océ Poland Ltd. Sp. z o.o.

www.oce.com.pl

Warszawa, ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. nr 7, tel. (0 22) 500 21 00, fax (0 22) 500 21 30; Gdynia tel./fax (0-58) 661 28 17;
Katowice tel. (0-33) 259 25 16, fax (0 32) 259 26 95; Kraków tel./fax (0-12) 427 24 73; Poznań tel./fax (0-61) 831 12 81;
Szczecin tel./fax (0-91) 814 33 53; Wrocław tel./fax (0-71) 781 77 70



Printing for
Professionals

dezyjnego), później kierował Katedrą Geodezji Wyższej i Obliczeń Geodezyjnych, był mierniczym górniczym z praktyką w kopalni i miał pomysły z różnych dziedzin. Mówił tak: „Panowie, najgorszy typ naukowca to jest niezdolny, ale pracowity. Bo ten na pewno nic nowego nie wymyśli. Za to będzie przydatny w administracji, w technice, produkcji, gdzie nie można za bardzo ryzykować”. Niewątpliwie, moje pewne takie rozbieganie zainteresowań mogło być spowodowane wpływem profesora Kochmańskiego, który był fanatykiem szukania tzw. dziury w całym. Stworzył np. antyteorię względności, podważał wyniki prac Einsteina...

Czy ja dobrze słyszę?

Tak, dobrze pani słyszy. W Polskim Towarzystwie Fizycznym w Warszawie miał odczyt, którym naraził się na ogromną krytykę i odsądzenie od czci i wiary. Podważał mianowicie teorię względności, wychodząc z tego, że zegary atomowe zaczęły wychwytywać jakieś różnice w prędkości światła. Innym razem na plenarnym posiedzeniu Centralnej Rady Związków Zawodowych zaprezentował własną teorię wektora kosmicznego, który reguluje dobowy cykl życia. Ułożenie się tego wektora miało decydować o aktywności umysłowej człowieka. Przeprowadzał doświadczenia, z których wynikało, że należy spać nad ranem i po południu, bo wtedy człowiek jest najmniej aktywny. I wystąpił – a był rektorem wtedy AGH – z rewolucyjną propozycją, żeby wprowadzić pracę na dwie zmiany i żeby spać dwa razy w ciągu doby.

To jest genialna teoria. Jaką trzeba mieć odwagę, żeby z czymś takim wystąpić!

On miał odwagę i był bardzo wszechstronny. Stworzył własną teorię szkód górniczych, czyli wpływu eksploatacji górniczej na powierzchnię i na obiekty. Był też współautorem patentu na zwiększenie bezpieczeństwa wind w szybach górniczych poprzez zastosowanie odrzutowego hamowania w przypadku urwania się liny. Rozwijał też informatykę. Ja zresztą też pracowałem przy budowie przekładnikowych maszyn liczących: jedna się nazywała PARK (Przekładnikowy Automat Rachunków Krakowianowych), a druga PARC (Przekładnikowy Automat Rachunków Cyfrowych). Sukces był duży i nawet Polska Kronika Filmowa zrobiła nagranie. Pamiętam, że poszliśmy do kina Wanda przy ulicy Waryńskiego w Krakowie oglądać samych siebie.

Moim mistrzem o zupełnie innym usposobieniu był niedawno zmarły profesor Michał Odlanicki-Poczobutt – uporządkowa-

ny, systematyczny, niepodejmujący takich ryzykownych czy wręcz awanturniczych pomysłów, człowiek o spojrzeniu znacznie bardziej ogólnym. Był przecież po wojnie dyrektorem biura planowania Regionu Południowego i urbanistą.

Skoro kiedyś było w naszej nauce tak ciekawie, to dlaczego dzisiaj nie ma skąd brać artykułów do naukowego kwartalnika „Geodezja i Kartografia”?

Ogólnie rzecz biorąc, nauka w Polsce jest ułomna ze względu na pragmatykę, która w niej obowiązuje. Preferuje zachowawczość, a my tkwimy w okowach niemiecko-austriacko-szwajcarskiej szkoły pedanterii, tytułomani i procedur.

Ale społeczeństwo ma przeciwny interes i one powinny się chyba jakoś ścierać?

Kłopot polega na tym, że z jednej strony występują uczeni utytułowani, wpływowi, a z drugiej – pojawiają się egzotyczne propozycje, również ustawowe, ludzi, którym się w nauce nie powiodło. Te propozycje nie mają szans powodzenia, bo są przedkładane przez zawiedzionych adiunktów, którzy mają 50, 55 lat i dalej jakoś nie mogą się rozwijać. Pamiętając o 25-letnim Gaussie, trudno jest im dobrze rokować.

A jak pan ocenia fakt, że studenci geodezji nadal liczą ćwiczenia za pomocą krakowianów. Czy to nie zbytnie przywiązanie do tradycji?

Pewnie tak, chociaż jestem uczuciowo związany z krakowianami, bo nawet zarabiałem na obliczeniach krakowianowych. Otóż ja się nie wstydziałem zarabiać, choć zarabianie, dziwna rzecz, traktuje się w kręgach naukowych jako coś wstydlivego. Boleję nad tym, że niektórzy inżynierowie będący profesorami w szkolnictwie wyższym nie mają prawie żadnej praktyki, i to nie tylko w naszej dziedzinie. Nie wierzę np. w nuczanie projektowania architektonicznego przez kogoś, kto nigdy nic praktycznego nie zaprojektował. Boleję nad tym, bo kiedyś model był lepszy. Nauczyciel zawodu miał związek z praktyką. A teraz pojawiają się – również w komisji sejmowej zajmującej się nowelizacją *Prawa geodezyjnego i kartograficznego* – postulaty poważnych przedstawicieli środowiska, żeby zakazać uczonym wdawania się w praktykę.

To rzeczywiście daleko idący wniosek, ale on został sprowokowany patologiami, które już sięgnęły zenitu.

Kiedyś się tego nie nazywało patologią. Przed wojną był kapitalizm, wolny rynek

i na szczęście większość profesorów uczących geodetów wykonywała płatne prace, co zapewniało związek teorii z praktyką. Z kolei po wojnie prace uczelniom zlecał przemysł. Dzięki temu wykonywałem pomiary, opracowania np. dla Huty Katowice czy Huty Lenina i nigdy nie bałem się praktyki geodezyjnej. Oczywiście AGH brało z tego większość pieniędzy, ale my, pracownicy, mieliśmy dodatkowe wynagrodzenie.

Czy gdzieś jednak nie powinna być ustalona granica między konieczną praktyką a realizacją milionowych kontraktów przez profesorów?

Chwileczkę, nie granica, tylko zrównoważenie. Dlatego że kadra nauczająca, która przez dłuższy czas nie pracuje w produkcji, odrywa się od rzeczywistości. I to trzeba zrozumieć. Gdzie ona ma się stykać z problemami, o których uczy? Tylko w literaturze? Mnie na szczęście uczyli tacy, którzy w ogromnej większości mieli praktyczne doświadczenie.

Proszę też wziąć pod uwagę ten aspekt, że sprzęt i oprogramowanie uczelnia nabywa zwykle w sposób uprzywilejowany i ono jest przeznaczone do celów dydaktycznych, nie do produkcyjnych.

W czasach, kiedy ja pracowałem w AGH, nie było tego problemu. Inaczej też wyglądała struktura gospodarki i na geodezję było duże zapotrzebowanie. Przeznaczano na nią 0,8% nakładów inwestycyjnych, a inwestycje były „rozpedzone”. W związku z tym pracy było dosyć dla wszystkich i jeszcze zostawało...

Powiedział pan, że objęcie stanowiska dyrektora Instytutu Geodezji i Kartografii było poważnym wyzwaniem. I czasy były takie niespokojne.

Tak, to była duża rzecz, prawie jak tsunami. A czasy tego dyrektorowania w instytucie były bardzo różne (1974-91). Początek przypadał na okres dużych inwestycji („średni Gierek”). Geodezja dobrze stała, GUGiK-owi szefował Czesio Przewoźnik, moim zdaniem bardzo dobry prezes, choć z wykształcenia inżynier budowlany. 1 stycznia 1976 r. oficjalnie utworzony został Krajowy Ośrodek Teledetekcji i to był moment wielkiego rozkwitu Instytutu. Prezydium Rady Ministrów wydało dwie uchwały z pieniędzmi na ten cel.

Czyli sukces?

To był wielki sukces. Towarzyszyłem wiceministrowi Przewoźnikowi podczas wizyty w Departamencie Stanu USA. Pierwszy raz

przeszedłem wtedy przez bramki do wykrywania metalu, które teraz nikogo nie dziwią. Lata 70. to był okres „dużej” geodezji. Mieliliśmy partnera ze strony produkcji – Zjednoczenie Przedsiębiorstw Geodezyjno-Kartograficznych GEOKART. Był polygon siedlecki, gdzie wprowadzaliśmy nowe technologie i były na to przewidziane pieniądze. Instytut był koordynatorem badań naukowych i rozwojowych na rzecz geodezji i kartografii w Polsce. Proszę zauważyć, że w czerwcu 1973 roku odbył się II Kongres Nauki Polskiej i to było takie „górowanie”. Gierek miał czołobitny stosunek do nauki i autentycznie na nią stawiał.

A potem zaczęło się psuć: w 1976 r. – Radom. Wracalem akurat w piątek samochodem przez Radom do Krakowa i na własne oczy widziałem, jak się palił Komitet Wojewódzki. Wieczorem w telewizji premier Jaroszewicz odwołał podwyżkę cen na mięso.

Co pan wtedy sobie myślał?

To już były inne czasy niż dwa lata wcześniej, kiedy przychodziłem do Instytutu. Wiedziałem, że jest kryzys, i to duży kryzys. Ale przecież i wcześniej, niestety, przeżywalismy różne kryzysy: rok 1968, tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu w 1970 (pełniliśmy wtedy dyżury w dziekanacie, podobnie jak później, na początku stanu wojennego w GUGiK, gdzie ze dwie noce przespałem na stole).

W 1979 r. było już bardzo źle. I ten tragiczny wybuch w Rotundzie, który słyszałem z biura na Jasnej. I zima stulecia, i brak węgla, i niedogrzenie Warszawy. Wtedy kilkakrotnie pieszo szedłem 40 minut do pracy.

A potem był czas „Solidarności”, kiedy pewnie i w Instytucie wybuchła euforia wolności?

Oczywiście, że tak. W związku z tym jako partyjny dyrektor zgodnie z poleceniem Komisji Regionu Mazowsze byłem nawet „aresztowany” przez instytutową „Solidarność”. Teoretycznie na dwie godziny, a praktycznie na godzinę. Miało mi to podobno unieemożliwić wzywanie milicji, której w ogóle nie miałem zamiaru wzywać. Z kolei z dramatycznym okresem stanu wojennego kojarzą mi się inne ciekawe wydarzenia. Mianowicie po tragedii w kopani Wujek 60% członków partii w Instytucie złożyło legitymacje. Wśród nich był zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych i technicznych Andrzej Puskarski i szefowa kadr Maria Krysikowa. I to był powód do wielkiego zdenerwowania niektórych moich przełożonych, którzy uważali, że powinienem te osoby pozbawić zajmowanych stanowisk, bo mogą wynikać z tego kłopoty. A ja tego nie zrobiłem i do

dzisiaj uważam, że dobrze się stało. W związku z tym zostaliśmy zaproszeni na egzekutywę Komitetu Zakładowego. Bardzo rozsądnym sekretarzem był Andrzej Szymczak, późniejszy prezes GUGiK.

I udało się jakoś wybronić?

Postawiono mi trzy zarzuty. Jeden, że nie ma organizacji młodzieżowej w Instytucie. Rozbawiłem egzekutywę, stwierdzając, że mamy jednego człowieka, który ma mniej niż 35 lat. Wykazali zrozumienie, bo zgodnie ze standardem to była granica wieku młodzieżowego. Drugi zarzut był taki, że nie mamy nowej organizacji związkowej, a było takie polecenie, żeby w celu blokowania zdelegalizowanej „Solidarności” towarzysze dyrektorzy przyczynili się do założenia prawowitej organizacji. Wiedząc o tym, wcześniej poprosiłem kolegów o zorganizowanie komitetu przygotowawczego do tego związku, żeby instytut był chroniony, uprzedzając, że dalej nie muszą się spieszyć. Wyjaśniłem więc egzekutywie, że mamy taki zespół inicjatywny, podałem nazwiska, samych porządnymi ludzi... Trzeci zarzut był najtrudniejszy do odparcia, a mianowicie że dyrektor, członek partii, prowadzi antypartyjną politykę, i to już była poważna sprawa. Wygłosiłem przemówienie, w którym przekonywałem, że ja właśnie prowadzę właściwą politykę partyjną – długofalową. I oni w głosowaniu przyznali mi rację!

Podsumowując ten okres, cieszę się, że Instytut nie rozdarł się politycznie. A w niektórych instytucjach jeszcze sobie dokuczają.

Największy życiowy sukces?

On się, niestety, rozmywa, bo nie mam wdorobku czegoś takiego, jak odkrycie planety, wynalezienie nowego tachimetru, czy – jak Teodor Blachut – autografu analitycznego. Jako sukces widziałbym dość udane wprowadzenie geodezji w duże i dobre towarzystwo naukowe w ogóle, tzn. nauk o Ziemi i nauk technicznych. Osobiście za sukces mogę uważać to, że byłem po Kowalczyku, Pawłowskim i Odlanickim czwartym geodetą wybranym do Polskiej Akademii Nauk. Od 2001 roku jestem, też z wyboru, prezesem Akademii Inżynierskiej w Polsce, stowarzyszenia pożytku publicznego.

Dzisiaj jako jedyny geodeta jest pan członkiem rzeczywistym PAN?

Po śmierci profesora Odlanickiego – jedynym. Natomiast członkami korespondentami są także prof. Lubomir Baran i prof. Andrzej Hopfer. Jest więc nas trzech geodetów. Ich wybór do Akademii również zaliczyłbym do moich sukcesów.

A porażka?

Cóż, jestem trochę ztroskany sytuacją Instytutu. W ostatnich latach pogorszyły się bowiem relacje między sferą praktyki i sferą teorii, nauki. Nie układa się tak, jak powinno współdziałanie nauki ze służbą i praktyką geodezyjną. Praktyka w sensie intelektualnym i poziomu technologicznego znacznie się rozwinęła, i bardzo dobrze. Ale w tych nowych warunkach nie jest łatwo znaleźć właściwe miejsce dla instytucji naukowo-badawczych. Dotyczy to nie tylko geodezji, bo w Polsce znaczna liczba jednostek badawczo-rozwojowych cierpi na te same bolączki.

Może nie ma już dla nich miejsca?

To oczywiste, że rola tych jednostek jest znacznie ograniczona w stosunku do tego, co było kiedyś. Na razie nie znaleźliśmy jednak racjonalnego, płynnego, w miarę bezkonfliktowego rozwiązania tej sytuacji. I właśnie nieznanie dobrej perspektywy wydaje mi się pewną porażką, miejmy nadzieję, że tylko chwilową. Na żadne „cudowne” rozwiązanie nie można liczyć, jednak proces sukcesywnej poprawy sytuacji musi się udać!

Jest pan ciągle zarzucany propozycjami przewodniczenia różnym ciałom, brań udziału w konferencjach, dyskusjach, inicjatywach...

Mimo mojego zaawansowanego wieku środowisko zwraca się do mnie z tyłoma sprawami, że wciąż brakuje mi czasu. Powiem przewrotnie, że w sukurs przychodzi mi niedomiar porządku, który panuje w centralnych organach władzy, np. Rada do spraw Zrównoważonego Rozwoju, do której zostałem wspólnie z kilkudziesięcioma innymi osobami uroczystie wprowadzony przez premiera Leszka Millera w 2003 roku, od dawna nie spotyka się. Nawet nie jestem pewien, czy minister środowiska pamięta, że ma taki organ. Państwowa Rada Geodezyjna i Kartograficzna też nie absorbuje mnie nadmiernie. Ale ja i bez tego mam wiele zajęć i boleję nad tym, że na świecie panuje „niesprawiedliwość społeczna”, wyrażająca się tym, że niektórzy ludzie nie mają co robić, a inni mają za dużo pracy. W związku z tym sformułowałem problem, za którego rozwiązanie uczynym – głównie fizykom, trochę filozofom – gwarantuję Nobla. Mianowicie żeby wyodrębnić czas jako dobro, oderwać go od człowieka i wprowadzić do obrotu handlowego. Wtedy tacy faceci jak ja będą mogli sobie kupować czas od osób dysponujących jego nadmiarem. I ten problem wciąż czeka na rozwiązanie. Niestety (lub na szczęście), jest to problem z kategorii *science fiction*. ■